NAD POZIOMY

ROK V. Czerwiec 1936 r. Nr. 9.

Miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie i Oświęcimiu.

„Młodości,
ty nad poziomy wylatuj“

A. Mickiewicz.

CENA 25 gr.

NAD POZIOMY

ROK V. CZERWIEC 1936 r Nr. 9

Miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie i Oświęcimiu.

Administr.: **Wł. Schittler.** Redaktor Odpow. **Prof. Dr. Z. Krawczyński.** Redaktor Nacz. **Z. Drbout.**

Przebudzenie po stuletnim śnie.

Wielkieby ją niespodzianki spotkały, gdyby się Dornröschen teraz dopiero ze stuletniego snu miała obudzić. Wielkie pod każdym względem. I dlatego, że świat zmienił swą postać i dlatego, że i ludzie zmienili się gruntownie. Rok 1836 to rok jeden z tych, które nastąpiły po rewolucji lipcowej i jak następne, był rokiem wytężonej spiskowej pracy, wrzenia rewolucyjnego i wielkiego napięcia uczuć patrjotycznych. Należał do epoki dążności liberalnych, tytanicznego zmagania się dwóch światów: świata absolutyzmu i nowonarodzonych i przez Napoleona rozpowszechnionych idei republikańskich. Stanowił ułamek z czasów rozwoju nowej literatury —romantyzmu. Romantyzm, który porvwał duszę gdzieś w zaświaty, dawał duchowi nieograniczone pole twórczości i czerpał dla niego ożywcze soki z tego co najwznioślejsze i najcenniejsze, z miłości świata, ojczyzny i ludzi. Wtedy młodzież całej Europy ogarnięta jakimś wzniosłym szałem leciała gdzieś do Boga poznać tajemnice bytu i wszelkiego początku. Wszystkie dążenia były jakieś idealne, wzniosłe, ale co najważniejsze to, że były wogóle jakieś dążenia i jakieś cele. Jeśli pracowano to z zapałem, gdy się znów oddawano uciesze to także z całego serca. Ci ludzie duchem wzlecieli tak wysoko, że się ośmielili nawet stawiać narówni z Bogiem:

„Ty Boże, ty naturo dajcie posłuchanie,
Godna to was muzyka godne was śpiewanie"

Taka w nich była pewność siebie, poczucie własnej wartości, że nie wahali się zawołać:

„I mocy swej nie wziąłem z drzewa edeńskiego
Ni z drzewa wiadomości dobrego i złego,
Ani z rozwiązania zadań
Ani z czarodziejskich badań—
Jam się twórcą urodził" !

To była moc, to potęga, która nie zginie nigdy—chyba, że jej już ludzie nie potrafią odczuć, ani zrozumieć. Moc tych lat widzimy wszędzie, na każdym kroku. I fantazja u nich była inna i zadzierzystość i Znać było, że są młodzi i że żyją.

Idzie Dornröschen z pokoju do pokoju, z kąta do kąta, przegląda wszystkie dziedziny życia i co widzi? Wszędzie zatęchłe ściany, zapleśniałe, nieoświetlone promieniami słońca. Wchodzi na tron świata i widzi jakiegoś zaspanego, gnuśnego, ulepionego z pyłu ziemskiego królewicza — to rok 1936. Wokoło niego gromada młokosów z saksofonami, jazz'ami, gra, strojąc idjotyczne, głupkowate uśmiechy, jakąś rumbę. Melodji w tem niema prawie żadnej, bęben tylko wali mocno i rytmicznie jak spracowany oddech auta. Smuci się Dornröschen. Nie widzi prawdziwej orkiestry, nie słyszy prawdziwej muzyki, walca, który mógłby duszę z ciała wywlec, mazura, w którym mogłaby podłoga iść w drzazgi, tylko te omdlewająco—rozczulające jęki. Wszyscy obecni są przytem jacyś znużeni, przesyceni, nie znać w nich radości życia. Idzie Dornröschen dalej. Lecz niemyliła się, sądząc, że nie znajdzie żywszych

objawów życia. Znalazła i to coś zupełnie nowego. Otworzyła usta, ze zdziwienia stoi, stoi i patrzy. Czy to ludzie mają troszkę w głowach poprzewracane, czy ja się jeszcze nie zupełnie przebudziła? Gonią za biedną piłką i kopią w nią ile wejdzie. Inni siedzą w około na trawie, na płotach, na drzewach i wyją, wyją niemiłosiernie. Czasem w przystępie najwyższego uniesienia krzyczą, ryczą z całych sił: Kalosz! Kalosz! Wywalić z boiska! Opodal wije się malowniczo rzeka, lecz nikogo nad nią niema. Wszyscy wolą siedzieć w tym kurzu i skwarze Idzie Dornröschen dalej, ale wkrótce widzi, że takby nie zobaczyła wszystkiego za drugie sto lat. Wsiada do auta. Tak będzie szybciej! Ale właściwie — do czego się ci ludzie tak spieszą! Poco? Naco? Gdzie? Czy chcą jaknajszybciej pozbyć się życia, odrobić tę pańszczyznę? — Nie. Gdyby tak było nie gromadziliby takich zapasów. Oni chcą nawet, zdaje się, po dwieście lat żyć, tyle tego gromadzą. Ale przytem odmawiają sobie na wszystko co wzniosłe i piękne, a pieniędzy nie daje. Biedni nie wiedzą, że nawet najnędzniejszy robak ma zbytek w swej nędzy. I cóż im z tego wszystkiego? Co? Przecież to wszystko tylko dla ciała, a ciało wszak wiekować tu nie będzie! Czyż nie myślą o tem, że nie byłoby sensu w tem wszystkiem, gdyby tu miało się wszystko kończyć? Czyż nie przypuszczają, że to musi być tylko próba, po której przejdą może w jakie doskonalsze postacie, aby się wreszcie po wielu takich próbach kiedyś połączyć z Bogiem, z Tym, który ich stworzył? Nie przeczuwają, że to tylko jeden z etapów długiej drogi i że niema co się tu zbytnio rozlokowywać, bo się nie będzie chciało odejść!? Przecież powinni starać się tylko o to, aby możliwie znośnie się tu ulokować i ciągnąć potem dalej i wyżej! Bawić się tu mogą oczywiście, bo muszą mieć jakieś rozrywki, to konieczne!

Dornröschen przerwała tok myśli. Trudno oni już tacy. Lecz jedno wam powiem. Ludzie, ludzie weszliście na fałszywą drogę, będziecie musieli wracać. Idziecie w dół zamiast w górę. Weźcie sobie to na wskazówkę i tem się kierujcie: Idźcie zawsze w górę. Czasami tylko musicie przejść z jednego szczytu na drugi przez jakąś kotlinę. Wtedy możecie odpocząć idąc w dół.

Dornröschen jest tutaj obco. Czuje się źle. Szybuje myślami o sto lat przedtem. Tam się jej lepiej podoba. Ludzie byli mądrzejsi.

Żałuje bardzo, że jej przyszło ożyć
Woli się znowu na sto lat położyć.

Jak to było na Męguszowieckim?

Szalała burza tatrzańska.

Są tacy, co widzieli ją zdaleka z pensjonatu zakopiańskiego, dobrze zabezpieczeni od ulewy i gradu i słuchali przytłumionych grzmotów, tysiącem ech huczących po skałach. Są inni, co bardziej poufale zetknęli się z nią w wysokogórskiem schronisku i mogli podziwiać z oszklonej werandy przedziwne pląsy chmur, szarpanych przez wiatry, dartych na strzępy i przerzucanych ze szczytu na szczyt, z przełęczy na przełęcz — wśród piekielnego hurkotu i sikawicy. Są wreszcie i tacy, których zaskoczyła na grani lub w ścianie turni, ale w miejscu niebardzo śtyrbnem, gdzie można jeszcze było schronić się w szczelinę, pod nawis lub nawet do koliby — i stamtąd jakby ze skalnego hotelu przyglądać się nieprawdopodobnie pięknej grze żywiołów, z nerwami już hartownemi, uszami dostosowanymi do detonacyj i oczyma zobojętniałymi na fioletowe światło piorunów.

Gorzej było z pięcioma śmiałkami, których

Złote myśli.

Prawdziwie wielcy ludzie są jak meteory. Błysną i spalają się aby oświecić ziemię własnem światłem.

Napoleon.

przewalająca się przez Tatry burza zaskoczyła na gzemsach Wielkiego Mięguszowieckiego Szczytu, w ostatnim już etapie wspinaczki ze Średniego na Wielki.

Dobrze już popołudniu opuścili przełęcz Mięguszowiecką pod Chłopkiem, w zamiarze przedostania się graniami i ścianami na przemian, prawdziwie orlim szlakiem i bez asekuracji linami—na dwa szczyty, na które robi się zwykle dwie odrębne wycieczki.

Chodziło o wyczyn nowy.

Wyjście na Średni Mięguszowiecki było oczywiście dla nich zabawką. Trudności wprawdziwe zaczęły się dopiero, gdy, lawirując z południowej ściany na północną i przesuwając się po ostrych zrębach grani, pokonywali pionowe urwiska, łączące dwa szczyty.

Czterej zdrowi i silni chłopcy, mający już zasobą szereg wypraw tatrzańskich i ten, który ich prowadził, nakłoniony upartą prośbą — przemykali się oto jak koty po nachylonych nad przepaściami płytach, po wązkich gzemsikach, po kruchych półkach, bardzo, mówiąc językiem wspinaczy, eksponowanych.

Czynili to wszystko z dużą werwą, a co ważniejsze z humorem, który wzmagał się nawet tam, gdzie było gorzej, a mogło być naprawdę źle w razie „przejmowania się.“

Raz od prawej ręki błyskały im z dna przepaści dwa ciemnolazurowe stawy, piękne jak myśl i marzenia nie z tego świata — to zagubione w mrokach ciemnych skał dwie perły tatrzańskie: Morskie Oko i Czarny Staw, to znowu od lewej, gdy się na południowej ścianie znaleźli, mienił się barwami i lśnił marszcząc się świetliście Wielki Staw Hinczowy.

Tu i tam wydawało się niedaleko, a byłoby naprawdę blisko, gdyby tak który odlepił się od ściany!

Szło jednak wszystko dotąd dobrze. Kilka razy tylko zawachał się przewodnik, który gzems wybrać do przesunięcia się w poprzek ściany lub za którą chwycić się na grani przewieszkę, poczem zdecydowanemi elastycznemi ruchami pokonywali trudności.



Trzebaż było, aby przy końcu tej wspaniałej wędrówki, już niemal u celu zaskoczyła ich ta burza?

Od jakiegoś czasu pomrukiwała groźnie zdaleka i w zawrotnym tępie leciała po niebie. Jak sadza czarne i gęste chmury gromadziły się od strony Orawy, zakrywając niezliczone szeregi wierchów Tatr Zachodnich i obejmując dźwigający się z oświeconych słońcem dolin kadłub Krywania, który dymił niemi jak wulkan.

Gnana wiatrem ławica obłoków i mgieł

Złote myśli.

Wolność jest jak pokarm pożywny ale ciężko strawny. Tylko zdrowy żołądek zniesie go bez szkody.

Roussean.

zbliżała się w wartkiem tępie, pożerając ostatki blasków i wypełniając obszary niesamowitym mrokiem, choć była dopiero piąta popołudniu. Widnokrąg zacieśniał się szybko, doliny odległe a nawet podnóża gór zniknęły wkrótce zupełnie.

Zpośród zwartej masy, wyrywały się odmienne barwą, granatowo-siwe kłęby i odrębne w kształtach odłamki, wymieniające pomiędzy sobą i z najbliższemi skałami groźne, pełne gniewu i nienawiści spojrzenia błyskawic. Towarzyszyło im długie, przeciągłe, prawie bez końca, coraz bliższe i coraz straszliwsze hurkotanie . . .

Jeszcze raz jakby na pożegnanie przez jakąś szczelinę w nastrzępionych chmurach ukazał się skrawek odległych niw zielonych i ciemniejszych lasów gdzieś na Spiszu i Liptowie — w słońcu, potem zniknęło wszystko, ustępując miejsca żywiołowi ciemności i grozy — oraz żywiołowi niedoścignionego piękna zarazem.

Zawieszeni na wysokości przeszło dwa tysiące czterysta metrów nąd poziomem morza, a tysiąc przeszło na powierzchnią wód Morskiego Oka, na małej platformie w ścianie, nadaremnie szukali nasi wędrowcy oczyma wokoło jakowegoś schronu przed deszczem, który już zaczął padać wielkiemi kroplami. Ani śladu wnęku lub koliby, same tylko drobne szczelinki i wązkie, pionowe, niedostępne żlebiki, niedające żadnej osłony.

Zaczęła się więc bitwa walna hartu i woli człowieczej z żywiołami rozpasanymi.

W kilkanastu minutach nie było już na nich suchej nitki, deszcz zamienił się w ogromny grad, który dzwoniąc po granitach lodowemi krupami, ciął ich niemiłosiernie i sprawiał ból nawet fizyczny. Dął w dodatku zimny wiatr, który przemokniętych przenikał do szpiku kości. Na największą jednak próbę w pierwszem stadjum burzy była wystawiona wytrzymałość nerwów. Pioruny rozpoczęły bowiem ogień iście huraganowy...

Kanonady, która się rozpętała, nie da się wysłowić!

Nietylko to, że gromy uderzały ciągle gdzieś aż nadto blisko, ale przedewszystkiem niemal jeden za drugim tak szybko, że można było oślepnąć od blasku i ogłuchnąć od tych ech potwornych, roztrącających się po skałach bez przerwy i wytchnienia.

Toteż najmłodszemu ze wspinaczy odmawiała już wola posłuszeństwa i obudziło się w nim dziecko, z którego coprawda niedawno wyrósł.

Drżącym ze zimna i trochę jąkającym się głosem szeptał do towarzyszy:

— Powiedźcie profesorowi, żeby już schodził, żeby schodził jaknajprędzej...

Nie dziecko! Teraz schodzić nie będziemy we mgle, w mroku po obślizgłych skałach. Tu nie można iść za pierwszym popędem czy odruchem.

Na takich stromiskach jeden krok postawiony fałszywie-to śmierć.

Od tego tu jestem z wami, aby się nikomu z własnej winy nic nie stało.

Kroku w tej chwili nie wolno się ruszyć, choćbyś dzwonił zębami ze zimna i przemoknięcia. Nie lekkomyślność dziecinna, ale doświadczenie i przetrwanie decydować muszą. Wytrzymać chwil kilka, a wszystko przejdzie!

Niestety, wytrzymałość miała być na większą próbę wystawiona, niż sądził. Burza wprawdzie przewaliła się, ale nie przeszła ulewa, która pod wieczór zaczęła przeplatać krople deszczowe płatkami mokrego śniegu.

O schodzeniu w takich warunkach nie mogło być mowy i trzeba było przygotować się na nocowanie w ścianie, na kilka długich godzin istnych tortur fizycznych.

O dalsze moknięcie mało się troszczyli, bo pod tym względem nie mieli nic do stracenia, natomiast zimno stawało się coraz bardziej nie do zniesienia.

Aby wyjść z nieznośnego, przymusowego bezruchu, symulowali przed samymi sobą schodzenie i wychodzenie, kręcąc się nieznacznie na małej przestrzeni, lub używając wszelkich znanych sposobów rozgrzewania się rękami i nogami.

Złote myśli.

Nie daleko zajdzie ten, kto już na początku wie dokąd dąży.

Napoleon.

Po trzech godzinach przeszła także ulewa, ale nie skończyła się udręka. Rozbłyszczona gwiazdami noc brała Tatry w swoje władztwo, noc wspaniała, która w tych niezwykłych warunkach nocowania na takiej wysokości i wśród takiego otoczenia byłaby dość gładko przeszła i dobre zostawiła wspomnienia.

Ale wisieć długie, nieskończone godziny nad urwiskiem w oczekiwaniu zbawczego świtu, w mokrej bieliźnie i ubraniu, kiedy każdy powiew wiatru budził dreszcz w udręczonem ciele, kiedy ostatni posiłek spożyło się w południe w miłej nadziei że się wieczorem do schroniska powróci — to była raczej twarda szkoła woli i pra dziwej męskości.

Trzeba się było ratować humorem, choćby szubienicznym (bo przecież wisieli) i podtrzymywać ambicję porównywaniem sytuacyj. Najlepiej nadawało się do tego opowiadanie o podróżnikach podbiegunowych i udrękach trwających tygodniami. Wszakże tu chodzi tylko o jedną noc!

W przemokniętej kieszeni prowadzącego wycieczkę znalazła się jedna bułka, zamieniona przez wodę deszczową w bezkształtną kluskę, którą wygłodniali i spracowani wysiłkiem fizycznym rozerwali w pięciu i pożarli jak wilki. Chwila zapomnienia — i znów to czekanie beznadziejne czy już choćby północ mija, to ogrzewanie się małpimi ruchami, przekomarzania się, opowiadanie, dowcipkowanie w formie złośliwej i drgawki za każdym wiatru powiewem.

Otuchy dodawała im myśl, że to przecie Tatry i to przedziwne ich powietrze, że, choćby nie wiem jak zmokli i zmarzli, kataru nawet z tego nie dostaną, a jutro śmiać się będą z całej tej przygody.

To im zresztą ciągle mówił ten, który z obowiązku musiał upadającego ducha podtrzymywać.

Po północy zrobiło się o wiele jaśniej i księżyc zielonkawem światłem zalał wypłukane przez deszcz skały i niesamowicie biało błyszczał na przyprószonych śniegiem gzemsikach.

Z mrocznych dotąd otchłani wynurzyły się nanowo tafle jezior, z świetlistemi smugami na zmarszczonych falach. Zajaśniały również rumowiska piargów i kamienne morza maliniaków nad czarnemi w dole skupieniami lasów i kosodrzewiny..

Zrobiło się bardziej swojsko, tembardziej że w łudzącem świetle wszystko wydawało się pobliskie.

I znowu trzeba było stoczyć walkę ze sobą, aby się nie dać uwieść zdradzieckiemu i zachęcającemu światłu — a czekać dalej dnia.

Można sobie pozwolić na schodzenie przy księżycu z jakiegoś łatwego szlaku, pełnego klamer i drabinek, które orle przedtem perci we wcale nie orle zamieniają — ale nie stąd, w dodatku bez lin.

Toteż siedzieli dalej z oczyma utkwionemi w przedziwnem światłem wypełnione kotliny i zamarłą pustynię głazów, czekając aż wschód zacznie się bielić i walcząc z sennością, której się poddać nie było można, a która pomimo zimna i zmoknięcia zaczęła po wysiłkach dziennych dopominać się o swoje prawa.

Każdy śpiewał sobie w duchu: Zejdź jasna jutrznio.

Śpiewał naprawdę szczerze!

I doczekali się wreszcie..

* * *

Po powrocie do schroniska zjedli obiad i kolacje za wczoraj, śniadanie i obiad za dzisiaj, wypili niezliczoną ilość herbat i położyli się spać.

Spali całe popołudnie za wczorajszą noc i całą następnie noc normalnie za dzisiaj.

Reszta uczestników wycieczki, na których zgóry patrzyli, niejako z wyżyny swoich przeżyć — tylko ich obsługiwała w pokorze ducha.

* * *

Kiedy dziś, po latach wielu, patrzą na olbrzyma tatrzańskiego, dźwigającego między niebem a jeziorem prostopadłe urwiska, każdy tam załom skały i każda szczerba wydają się im czemś swojskiem i bliskiem, i nie mają w sobie już tej grozy, co mrozi i odpycha nieznającego gór przybysza.

Złote myśli.

Trucizna duchowa działa silniej na ciało niż arszenik.

Napoleon.

Są już szanującymi się nieco ludźmi na stanowiskach.

Może kiedyś jeszcze później przyjadą autem na brzeg Morskiego Oka i tu z tarasu morenowego w rozentuzjowanych ceprów gromadzie, z dumą powrócą wspomnieniem do lat młodych, opowiadając laikom o swoich wyprawach i patrząc z wewnętrznem zadowoleniem wstecz na przebyte trudy, i zapominając o przykrościach, niegdyś pokonanych wysiłkiem mężniejącej woli.

Ale zawsze ilekroć spotka ich gdziekolwiek jaka inna przygoda, ilekroć staną wobec konieczności wysiłku i samozaparcia, ilekroć trzeba się będzie czemuś z całą stanowczością przeciwstawić lub coś przetrwać — tyle razy podniesie się w nich żywiona wspomnienie wiara, że wybrną z trudnego położenia, bo . . . gorzej było na Mięguszowieckim!

Z. K.

Śląsk a Polska.

(W piętnastą rocznicę III powstania śląskiego).

Niedawno temu, bo 3 Maja b.r. obchodziliśmy piętnastą rocznicę trzeciego powstania śląskiego, które było bolesnym krzykiem oporu wobec gnębicieli ludu śląskiego i wspaniałym dowodem przywiązania tego ludu do kraju macierzystego. III powstanie śląskie zadecydowało o decyzji „Konferencji Ambasadorów„ w Paryżu i o przyznaniu tego cennego i drogiego nam skrawka ziemi śląskiej. (20. X 1921 r.

W związku za obchodem tej bohaterskiej rocznicy warto przypomnieć sobie o przeszłości Śląska i o jego związkach materjalnych i duchownych z Polską. Przesunięcie się myślą po całej historji Śląska przekona nas, kto ma prawo do tego kraju i kto powinien nim władać. Fakty udowadniają to wszystko na korzyść Polski. Cały Śląsk dzieli się pod względem politycznym na 3 terytorja: niemieckie, polskie i czeskie. Pod względem fizycznym dzieli się na Śląsk Górny i Opolski, od starego grodu piastowskiego, Opola, tak nazwany. Cały ten kraj posiada około 16 tys. km² powierzchni. Nazwa „Śląsk“ pochodzi prawdopodobnie od góry „Ślęza“, lub od małej, opodal przepływającej rzeczki Ślęza (niem. Lohe). Nazwę tę spotykamy poraz pierwszy w nomenklaturze gminy Silensi w XI wieku.

Plemiona słowiańskie[1] które w VI—VII w. po nar. Chr. osiadły na Śląsku, poświęciły olbrzymi nakład pracy i energji, aby ziemię śląską choć częściowo uczynić rolą uprawną. Dlatego posiadają do niej niezaprzeczone prawo. Już w XI w. prowadzili Słowianie z powodzeniem pracę kulturalną na Śląsku Ślązanie czy Wiślanie byli takim samym szczepem lechickim, jak ich sąsiedzi znad Warty, Polanie. Na południowo-zachodnich kresach Śląska łączyli się oni nieznacznie z Czechami. Z jednej strony oddziaływały więc na Śląsk wpływy kulturalne i polityczne lechickie, z drugiej czeskie. Ciążenie jednak Śląska było zwrócone ku Wielkopolsce, od Czech bowiem oddzielony był Śląsk murem Sudetów. Mimo to ekspansja czeska kieruje się usilnie na Śląsk. W zaraniu dziejów książęta czescy i polscy prowadzą zaciekłe walki o Śląsk. Za Mieszka I Śląsk należał prawdopodobnie do Polski, lecz po śmierci Dąbrówki, wtargnęli na ziemie pograniczne mieli zająć znaczną część Śląska w 990r. Misjonarze czescy, pracujący na Śląsku, umocnili wpływy czeskie. Główna ekspansja Czechów kierowała się na ziemię Kładzką (nad górną Nissą). Od r. 990 rozpoczynają się długie, co pewien czas ponawiające się wojny polsko—czeskie o Śląsk i Morawy. W r. 999 Bolesław Chrobry

---

Złote myśli.

Istnieją tylko dwie potęgi na świecie: miecz i duch. Zczasem jednak miecz zawsze bywa pokonywany przez ducha.

Napoleon.

odzyskał po uporczywej walce Śląsk Zaodrzański i bogaty kraj Wiślan Poddając biskupstwo we Wrocławiu (założone 1000 r.) arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu, Bolesław uniezależnił się od wpływów czeskich w dziedzinie kościelnej. W czasie długotrwałej wojny Bolesława Chrobrego z ces. Henrykiem II. Czesi i Lutycy pomagali cesarzowi i prowadzili jego wojska na Śląsk Gdy po śmierci wielkiego monarchy Bolesława nastąpił w Polsce zamęt i anarchja, król czeski Wratysław powziął zamiar połączenia Słowian zachodnich w jedno państwo, podobnie jak przedtem Bolesław Chrobry, i najechał na Polskę Dotarł on aż do Gniezna, a wracając, ogłosił przyłączenie Śląska do Czech. Panowanie czeskie trwało lat 12 (do 1050 r). Gdy Kazimierz Odnowiciel wstąpił na tron, odebrał Śląsk Czechom, pomimo przeszkód ze strony cesarza Henryka III który jednak nie mógł pomóc Czechom, bo był zajęty na Węgrzech. Poprzestał więc na groźbie, skierowanej do Kazimierza. Kazimierz, obawiając się najazdu cesarza, obiecał Śląsk oddać Czechom, czego jednak nie uczynił, a nawet zręczną dyplomacją uzyskał od cesarza potwierdzenie przynależności Śląska do Polski 1054 r. Za Bolesława Krzywoustego Śląsk przeżył groźny najazd ces. Henryka V. Czesi również tym razem pomagają Niemcom. Świetnym dowodem patrjotyzmu Ślązaków jest bohaterska obrona Głogowa.

Po śmierci Bolesława Krzywoustego Śląsk przechodzi, jako dzielnica państwa polskiego (według testamentu Bolesława, 1138 r) pod władzę Władysława II który jest założycielem linji śląskiej Piastów. Następcy Władysława II coraz bardziej rozdrabniali dziedzictwo Bolesława. Wkrótce powstaje tam przeszło dziesięć księstw. Jednocześnie postępuje proces germanizacji. Potomkowie Władysława niemczeją na dworze cesarza Konrada II a w swoich udzielnych stolicach otaczają się rycerstwem niemieckiem, sprowadzają niemieckich kupców, rzemieślników i osadników rolnych i nadają im liczne przywileje. Dochodzi nawet do tego, że spędzano ludność polską z uprawionych ziem książęcych i klasztornych, a oddawano ją Niemcom, Polakom zaś kazano trzebić lasy.

W 1241 r. Śląsk pada ofiarą najazdu Mongołów. Cały dorobek kulturalny, z bogatym Wrocławiem na czele zostaje zniszczony. Ludność wskutek najazdu znacznie się przerzedziła, więc książęta, chcący odbudować zrujnowany kraj, zaczęli masowo sprowadzać osadników z Niemiec. Dawne podgrodzia zostały odbudowane i doprowadzone do zamożnego stanu. Miasta, jakkolwiek niemieckie, nosiły zawsze prawie nazwę dawnego słowiańskiego grodu Osadnicy niemieccy posiadali rozległy samorząd na podstawie przywilejów zasadźczych, rządzili się i sądzili według własnego prawa (prawo magdeburskie). Kolonizację niemiecką silnie popierał Henryk I. Brodaty, mądry i energiczny władca. Zagarnął on cały Śląsk i Małopolskę pod swą władzę, a nawet miał zamiar połączyć wszystkie dzielnice Polski pod jedną władzą Politykę jego kontymował syn i następca Henryka I, Henryk II Pobożny, również zniemczony i hołdujący kulturze niemieckiej Poległ on w walce z Tatarami pod Lignicą 1241 r. Pod koniec XIII w. wśród małych i niezdolnych książąt śląskich wybija się postać postać Henryka IV Probusa. Charakter swój urabiał on na dworze Przemysława Ottokara II, króla czeskiego. Jakkolwiek przesiąknięty kulturą i obyczajami niemieckiemi, rozumiał znaczenie jednolitej władzy królewskiej w Polsce i pragnął całe państwo zjednoczyć. Podczas swych rządów był sprzymierzeńcem Ottokara II, co przyniosło mu niewątpliwe korzyści, np. w r. 1278 uzyskał ziemię kłodzką, należącą do Czech. Wielkiej wagi politycznej jest testament Henryka Probusa, w którym dzielnicę krakowską i sandomierską zapisuje Przemysławowi II wielkopolskiemu. Tkwiła w tem głęboka myśl połączenia Małopolski i Wielkopolski w jednem ręku. Z końcem XIII w, gdy dokonało się zjednoczenie ziem polskich, Śląsk pozostał wyjątkiem. Przez to stracił organiczną łączność z resztą Polską i został wciągnięty w sferę wpływów państwowych czeskich a póź-

---

Złote myśli.

Szczęśliwy nie wierzy, że jeszcze dzieją się cuda, bo tylko w nędzy zwykło się rozpoznawać bożą rękę i palec, który dobrych ludzi kieruje do dobrych.

Goethe.

Pieśń o potoku (Nuta Czardasza)

Leci, huczy wartki potok wśród zielonych hal
I pieśń odwieczną w szumie swoim gra,
W duszy człowieka dziwny wstaje żal,
Dzika tęsknota łka...

I wspomnień rój
Z ubiegłych lat,
Wiedzie go w swój
Czarowny świat,
Wśród złotych snów
Zakwita znów
Młodzieńczej wiary cudny kwiat!

A bystry potok mknie i mknie...
Kosodrzewiny bryzga pnie,
Po turniach płyną zwały chmur,
I groźnie sterczą ściany gór,
Duszę porywa czardasz—szał!
Muzyka wiatru, wód i skał.

Jeziora cicha pobłyskuje toń,
I kwiatów halnych rozlewa się woń,
Wiatr myśli niesie gdzieś na świata kraj,
Bo wicher i czardasz—to bracia dwaj!

Na uboczy pod chmurami dzwonią dzwonki trzód,
I lśnią się owce—niby pereł sznur,
Echo przeciągłe grzmi juchaskich nut,
Cudowne echo gór...

Pasterzy śpiew,
I owiec bek
Wprawiają krew
W gorętszy bieg,
Tchną w serce moc,
Spędzają noc,
I płoszą mrok, co w duszy legł.

A bystry potok mknie i mknie... i. t. d.

O. S.

Czardasz harcerski przy ogniu.

Żar ogniska skrami pryska,
Zasiedliśmy wkrąg
Czarny za nami w mroku stoi bór,
Wiatr zawiewa—dzisiaj drzewa
Wiatr zawiewa—dzisiaj drzewa
Wypalimy, wypalimy sąg!

Po głębokim lesie! lesie!
Echo pieśni niesie, niesie
Hura. hura—hura, hura—hura—uha—hej!
Świeć ogniu, świeć ogniu i grzej!

Hej jak wicher lecą nasze piosnki
Nad pola, lasy, miasta i wioski...
Hejha, uha, uha—hejha, uha, uha,—hejha, hejha, hejha—uha!

W życia wiośnie wstał radośnie
Śmiały zastęp nasz
Toczyć z ciemnością i niemocą bój,
Odrodzimy, odmłodzimy,
Odrodzimy odmłodzimy
Starą świata, starą świata twarz!

Po głębokim lesie i t. d.

Ogień świeci, w niebo leci
Złotych iskier rój,
Gęsty kłębami bucha z ognia dym,
Blask i ciepło noc zakrzepłą
Blask i ciepło noc zakrzepłą
Przenikają, biorą w uścisk swój!

Po głębokim lesie i t. d.

O. S.

Czardasz do słów Tetmajera.

Duszę nieś w podniebne strony —duj wiaterku—duj!
W szumie twoim urodzony dźwięczy akord mój!
Hej czardasza ty mi graj cygańska muzyko,
Huczcie basy, gęśli łkaj, gęśli łkaj!
Ile bólu w piersi mej, ile skargi żalu,
Tyle w struny swoje wlej—góralu

Słuchaj słuchaj szumi bór daleko..daleko...
Zagrajże mi jak on gra, jak on gra,
Kiedy wicher po nim gna, po nim gna.

Hej niech mói nie pada trup na doliny nisko,
Nie dla niego w ziemi grób, w ziemi grób!
Na granitach leżeć mu wśród ciszy nadskalnej,
Niech kołysze go do snu wiatr halny.

Niech mu szumią smutnych limb konary zielone,
Chmury niech mu wiją nimb, wiją nimb!
Wielkie orły lecą tam i krążą i kraczą,
Mkną ze skalnych bram siklawy i płaczą.

Marsz wycieczkowy harcerskiej drużyny.

Żwawo naprzód kroczysz harcerska drużyno-harcerska drużyno
Przez kraje dalekie pieśni twoje płyną
I w niebiosach giną i w niebiosach giną...

Serca nasze młode biją jako młoty,
Ku słonecznym szlakom kierujem swe loty,
Wskazuje nam drogę wiary promień złoty!

Chociaż na gór szczytach silny wicher wieje,
Chociaż grom tam ryczy, przepaść czarna zieje,
Nikt z nas się nie cofnie, nikt się nie zachwieje!

Silna nasza wola, twarde nasze ramię,
Żaden trud ni walka harcerza nie złamie
„Czuwaj“ nasze hasło, „lilja“ nasze znamię.

Zapada w doliny, przez las się przerzyna,
Brzegiem morza sunie, na góry się wspina,
Harcerska drużyna! Harcerska drużyna!

O. S.

niej niemieckich, a przez to został stracony dla Polski. W pierwszej połowie XIV w. książęta śląscy, niezdolni do prowadzenia samodzielnej polityki, potrzebowali silnego kierownictwa. Skorzystał z tego Jan Luksemburg, król czeski i uzyskał hołd lenny najprzód od Bolesława, księcia na Brzegu, a później (w 1327 r.) od innych książąt. W ten sposób od 1327 r. Śląsk stał się lennem czeskiem. Panujący wówczas w Polsce Władysław Łokietek nie mógł ugruntować swych wpływów na Śląsku, pochłonięty sprawami wewnątrznej konsolidacji państwa.

Wreszcie w r. 1335, 12 listopada na uroczystem zjeździe w Wyszehradzie (nad Dunajem) nastąpił akt który na długie wieki zadecydował o losach Śląska. Kazimierz Wielki zrzekł się (jednak tylko ustnie) praw suwerenności nad księstwami śląskimi, wzamian za co Jan czeski zrzekł się w imieniu swojem i swych następców pretensyj do korony polskiej (jako dziedzic Wacława III, który był również królem Polski.) Mimo wszystko, Kazimierz nie wyrzekł się widoków odzyskania Śląska, czego dowodem jest polityka kościelna (biskupstwo wrocławskie należy do arcyb. gnieźnieńskiego), oraz serdeczne stosunki z Bolkiem ks. Świdnicko—Jaworskim, który nie uznał zupełnie zwierzchnictwa Czech. W XVI w. (1526 r.) Śląsk z całą koroną czeską dostał się Habsburgom. Pomimo, że został zapomocą szeregu instytucji silniej związany z Austrią, tradycje polskie na Śląsku nie zginęły. Wielką życzliwością Ślązaków cieszyły się np. rządy w księstwie Głogowskiem Zygmunta I (Starego), który tu zaprawiał się do rządów w państwie polskiem Pod władzą Habsburgów pozostał Śląsk do 1742, gdy Teresa cesarzowa austr. zmuszona była wskutek ciężkich warunków uznać prawie przynależność Śląska do Prus. Fryderyk II król pruski wykorzystał ciężkie położenie Austrii i odebrał jej Śląsk. Austrja uznała ostatecznie Śląsk za własność Prus w pokoju drezdeńskim 1745 r. Fryderyk II był mądrym i przebiegłym monarchą. Pomyślał o tem, że o Śląsk może się upomnieć jego prawa właścicielka, Polska, i zawczasu próbował się ubezpieczyć. Rozpoczął mianowicie intensywną germanizację ludu śląskiego, który trwał wiernie przy mowie polskiej i przy wierze katolickiej. Zaczęto uczyć wyłącznie po niemiecku w szkołach parafialnych, księża — Niemcy germanizowali z ambony dusze polskie — wszędzie usiłowano zatrzeć polskość Śląska. W XIX w. germanizacja uczyniła olbrzymie postępy, Jedynym może czynnikiem, który pracował nad utrzymaniem polskości, było duchowieństwo polskie. W kościele krzepiła się dusza Ślązaka i wraz z wiarą ojców zachowywał on uczucie i język ojczysty. Jak wytrwałym i odpornym żywiołem jest lud śląski, dowodzi fakt, że mimo przeszło siedmiowiekowej usilnej germanizacji 70 % ludności (według urzędowej statystyki niemieckiej) uważa język polski za swój język ojczysty. Pomimo braku polskiej inteligencji lud ten potrafił wieki wytrwać w polskości, chociaż oderwany od ojczyzny.

Nie można się więc dziwić, że lud śląski zaciekle walczył o swe prawa narodowe polityczne po wielkiej wojnie, gdy zamierzano cały Śląsk pozostawić Niemcom. Trzy samoistne bohaterskie powstania górnośląskie,[2] to wspaniały dowód dzielności i przywiązania tego ludu do Polski, przywiązania okupionego męczeństwem i krwią. Ostatnie powstanie śląskie wybuchłe w nocy z 2 na 3 Maja 1921 r. unicestwiło intrygi dyplomacji niemiecko — angielskiej i przekonało dygnitarzy Koalicji o woli ludu śląskiego.

Dzisiaj właśnie, w piętnastą rocznicę tego bohaterskiego czynu powinniśmy sobie uświadomić, czem jest Śląsk dla Polski, a Polska dla Śląska Powinniśmy zrozumieć, czem Śląsk zasłużył sobie na naszą cześć i szacunek.

F. F.

1) Dane historyczne z pracy Ż Dentera „G Śląsk." 2) I. powstanie—16. VIII 1919 r. II powstanie— w połowie sierpnia 1920 r. III powstanie—w nocy z 2 na 3 maja 1921 r.

Złote myśli.

Wolę być pierwszym robotnikiem w fabryce, niż lichym artystą w Akademji.

Napoleon

Złote myśli.

W naturze niema grobów ani śmierci; są różne formy bytu, z których jedne pozwalają nam być chemikami, inne tylko preparatami chemicznemi.

Prus

Od Bałtyku do Morza Czarnego.

Pod koniec pobytu w Mamaja, dostajemy wiadomość z konsulatu polskiego z Bukaresztu, że władze tureckie zezwoliły, aby uczestnicy spływu na zakończenie swojej pięknej wycieczki zwiedzili ich stolicę.

Na tę wiadomość zapanowała w naszym obozie niewysłowiona radość.

— Konstantynopol! —

Ach Konstantynopol, te sławne wrota na wschód i kraje azjatyckie.

Na drugi dzień, czarne fale unosiły nas na „Prinzipessie Marji" ku ziemi Kemal Paszy. Od czasu do czasu mijały nas różne statki i okręciki — to komunikacja przybrzeżna, które wkrótce znikły nam z oczu. Wreszcie i wązki pas wybrzeża rumuńskiego skrył się w odmętach wod, a naokoło nas zapanowała głucha cisza, przerywana stłumionym turkotem motorów okrętowych.

Chuśtało nas porządnie, tak, że nie obeszło się bez zawrotów głowy i nudności. Tak po dziewięciu godzinach jazdy, ukazały się nam na horyzoncie wieże i kopuły meczetów, które w miarę zbliżania się okrętu do przystani rosły w naszych oczach.

Wreszcie port.

Ostatnie rozkazy oficera, wzmożona praca marynarzy, turkot kotwicy i już stoimy.

W porcie trwa od samego rana ogromny ruch.

Gwizd syren okrętowych, syk pary z maszyn, nawoływania marynarzy i pracowników portowych, dalej turkot rozmaitych pojazdów, zmieszany z ochrypłym krzykiem handlarzy miejscowych, wzbudzają w przybyszach wielkie zaciekawienie, a także zdumienie.

Wraz z komendantem spływu opuszczamy okręt i udajemy się do centrum stolicy Turcji.

Miasto europeizuje się w bardzo szybkiem tempie, na wzór zachodnich stolic. Ciemne, wązkie, kręte i wyboiste uliczki, wypierane są w zupełności przez wspaniałe szosy, ulice i autostrady.

Piękną jest pryncypalna aleja obecnego władcy Kemal Paszy. Chociaż miasto posiada nowoczesne budowle i gmachy, to jednak giną one zupełnie na tle wysokich strzelistych wieżyc i wspaniałych kopół meczetów. Największym z nich jest prastary meczet św. Zofji który swoimi rozmiarami powagą i sędziwością, a następnie kunsztem rzeźbiarskim i malarskim, wprowadza widza w podziw i zachwyt.

Również piękne są wystawy, sklepy i bazary tureckie, a przedewszystkiem sławne są tamtejsze kawiarnie. Do jednej z takich wstąpiliśmy na filiżankę „kawy tureckiej", która cechuje charakterystyczny aromat i wyborny smak. Przez cały dzień widzi się tu Turków, siedzących przy stolikach, w czapeczkach w kształcie stożka ze ściętym wierzchołkiem, t. zw. fezy, popijających kawę i załatwiających swoje interesy.

Ludność tutejszą cechuje ognisty temperament, właściwy mieszkańcom południowych krain. Kupcy to wyrafinowani zdzieracze. Doświadczyliśmy to na własnej skórze.

Po południu zwiedziliśmy jeszcze cieśninę Bosfor, łączącą Morze Czarne z Morzem Marmara, a o godzinie 10-tej wieczór żegnaliśmy znowu Konstantynopol, wracając, nazad do Konstancy.

Długo wpatrywaliśmy się w migocące światełka Stambułu, aż wreszcie ciemna noc objęła cały widnokrąg w swoje ramiona.

Monotonny turkot motorów, ukołysał nas do snu, na spokojnych tym razem falach Morza Czarnego.

Do Konstancy przybyliśmy koło godziny 8-mej rano, skąd nas odwieziono autokarami do Mamaja.

W Mamaja odwiedził nas sam monarcha Rumunji, Karol II., interesując się całą trasą spływu, wypytując się o zdrowie i humory nasze.

Miasto Gdynia ofiarowało Miastu Konstancy w dowód przyjaźni, za naszem pośrednictwem puchar, oraz baryłkę wody z Bałtyku.

Dary te odebrał osobiście król Karol II., przekazując puchar do muzeum morskiego, wodę zaś wylał na granatowe fale rumuńskiego morza.

Symboliczny ten akt uczczony został salutem armatnim, oraz odegraniem hymnów, polskiego i rumuńskiego.

W ten sam dzień po załadowaniu taboru kajakowego do specjalnych wozów, które miały odstawić go aż do granicy polskiej, udaliśmy się pociagiem do Bukaresztu.

Tu zatrzymaliśmy się dwa dni.

Bukareszt, stolica Rumunji, jest miastem na wskroś nowoczesnem.

Nie bez słuszności nazywaja go małym Paryżem. Szerokie ulice, olbrzymie gmachy reprezentacyjne, rozległe place okolone zielenią drzew, czynią Bukareszt europejskiem miastem w najlepszem słowa tego znaczeniu.

Bukareszt rozwija się ustawicznie Niedawno ukończono wspaniały gmach uniwersytetu, istne cacko architektoniczne

Po złożeniu wieńca na grobie Nieznanego żołnierza, miasto wydało wspaniały bankiet·

Zwiedziliśmy rówież muzeum narodowe, lotnisko bukaresztеńskie i parki królewskie.

Serdecznie żegnani przez tłumy publiczności, odjeżdżaliśmy do Ojczyzny. Podróż koleją nie była wcale nużąca, gdyż wszyscy mieliśmy bardzo wygodne pomieszczenia, trwało to jednak tylko do granicy.

Pod wieczór przybyliśmy do Śniatyna, gdzie nastąpiło oficjalne rozwiazanie spływu.

Każdy teraz wracał „na własną rękę“ do domu.

Z trudem załadowaliśmy się do lwowskiego wozu i zbici jak „śledzie“ dojechaliśmy do Lwowa

Tu po powtórnej przesiadce dostaliśmy się w drugą beczkę ze śledziami (tym razem krakowskimi) i tak „marynując“ się stojąco, ujrzeliśmy wczesnym rankiem mury Krakowa.

Wreszcie trochę wolnego miejsca, no i Trzebinia a w końcu Siersza.

Po jedno miesięcznej wędrówce, znużeni niewymownie powrotną drogą, ale jednak z humorami, wkroczyliśmy do domu, gdzie już oczekiwała nas cała rodzina, doskonała kawusia z bułeczką i... (prawdziwy rumuński pech) smażone kurczaki.

Spływ pod hasłem „Od Bałtyku do Morza Czarnego“, był wyczynem sportowo reprezentacyjnym, w którym Liga Morska i Kolonjalna pragnęła pokazać nasz dorobek w dziedzinie wychowania wodnego, a w szczególności zachęcić Młodą Rumunję do współpracy z nami w realizacji dążności Ligi Morskiej do połączenia wód Bałtyku z Morzem Czarnem rzekami i kanałami.

Gotowe plany czekają bowiem już na rozpoczęcie robót, według następującego szematu:

Droga Wodna o ogólnej długości od Bałtyku do Reni 1915 km., składa się z trzech rzek, a mianowicie: Wisły, Dniestru i Prutu i z dwu kanałów; Wisła—Dniestr, oraz Dniestr—Prut; długość polskiego odcinka wynosi 1105 km., zaś rumuńskiego 810 km. Pierwszą częścią drogi wodnej, poczynając od Bałtyku, jest Wisła. Na długości 672 km. pod Sandomierzem (km. Wisły 274.) trasa opuszcza Wisłę na poziomie 140,0 m. i biegnie sztucznym kanałem po lewym brzegu Sanu, pod Jarosławiem przekracza San, wchodząc w dolinę potoku Wiszni i w km. 850 pod Czajkowicami dochodzi do Dniestru (km. 400,6) w poziomie szczytowym 265,0 m. długości 30 km.

Długość kanału Wisła — Dniestr wynosi 188 km., na kanale projektuje się 17 śluz komorowych. Od Czajkowic drogę wodną stanowi, do Jezupola (km. 262) Dniestr skanalizowany 17 jazami. W Jezopolu km. 990 trasy, na poziomie 209,0m. trasa opuszcza Dniestr i sztucznym kanałem wchodzi w dolinę Bystrzycy, a obok Stanisławowa w dolinę Worony, na km. 1045 przekracza dział wód, między Dniestrem i Prutem na poziomie 301 m. i stąd spada w dolinę Prutu, łącząc się z tą rzeką w km. trasy 1005 pod Śniatynem. Dla zasilenia wodą poziomu szczytowego, projektowane jest doprowadzenie wody z górnego Prutu osobnym kanałem zasilającym, długość 50 km. Od Śniatyna, do Dunaju pozostaje już trasa w korycie Prutu, który na odcinku od Śniatyna do Lipkan będzie skanalizowany (30 jazów), zaś od Lipkan do Reni przewiduje się regulację Prutu.

Koszta tych robót obliczone okrągło na 5000.000.000 zł., pokryłaby Polska i Rumunja wspólnie. —

KONIEC

Witold Marjan Myczkowski VII b.

Złote myśli.

Trzeba chcieć żyć i umieć umrzeć.

Napoleon.

Wrażenia z Śląska.

Ciąg dalszy

Nastroje pejzażowe zmieniają się na Śląsku nagle i niespodziewanie. Ledwieśmy minęli w przejeździe okolicę fabryczną, wpadamy nagle w zaciszne ustronie wiejskie ze starym drewnianym, typowo polskim kościółkiem, w cieniu odwiecznych lip, wiązów lub dębów. Kościółek ten, stojący tam od setek lat, pozostał jako świadek minionych czasów. Wychował i pochował szereg pokoleń, patrzył na żarliwą wiarę ludu, szukającego pociechy religijnej i ukojenia w ciężkich chwilach ucisku narodowego i na łzy radości w dobie odrodzenia i wolności. I dzisiaj jak dawniej gromadzą się wierni w cieniu tych drzew, sadzonych według legend ręką króla Jana Sobieskiego, który tędy przejeżdżał w wyprawie swej pod Wiedeń. Parafja pomnożyła się kilkakrotnie. Już dzisiej kościółek zą mały, by pomieścić wszystkich w okołu swych ścian i mimo, że niejednokrotnie zagrażał im pożar lub niebezpieczniejsza jeszcze burzycielka ręka ludzka, ocalał szczęśliwie i dotrwał po dziś dzień. Turysta, bawiący na Śląsku, nie omieszka więc, zaznajomiwszy się z wielkim przemysłem, zwiedzić pięknych zabytków drewnianego budownictwa, jakiemi są kościółki śląskie. Są to klejnoty rzezane w drzewie, któremi przeszłość ozdobiła tę ziemię. Śląsk, stanowiący do końca XIII wieku jedną z dzielnic Polski, a następnie pod względem kościelnym związany z nią aż do początków XIX wieku, był po większej części krajem lesistym — Stąd obfitość materjału drzewnego jako budulca, stąd i wydoskonalenie się sztuki budownictwa drzewnego. Z drzewa budowano chaty, dwory wiejskie i domy miejskie, budowano zamki i kościoły, wyrabiano naczynia i narzędzia rolnicze. Służyły one jako podatny materjał w zdobnictwie i rzeźbie.

W czem leży dziwny urok i oryginalne piękno śląskiego kościółka? Nie imponuje on klasycznym układem swych linij ani siłą kontrastów, posiada raczej naturalny wdzięk kwiatu polnego, wyrosłego na rodzinnej glebie, jest niby wegetacyjnie związany z tą ziemią. Skromne, szare, pleśnią mchów pokryte ściany, pobite gontami, podcienia o powyginanych dachach, wieża strzelająca ku niebu wygiętą bryłą czworościennego ostrosłupa, wszystko to przemawia do serca Polaka jakimś swojskim głosem. Instynktownie wyczuwa się, że takim a nie innym winien być wiejski przybytek Boga. W każdej porze roku i dnia odkrywamy w kościółkach wiejskich inne wdzięki i ponęty. Latem przez gęstwę konarów i liści kilkusetletnich drzew, przesączają się promienie słoneczne i na miękiej powierzchni, gontami krytej i zielonym mchem porosłej wieżycy, haftują tęczowe plamy o najróżnorodniejszem zabarwieniu i tonach od cytrynowo żółtych do karminowych, od soczystej ciepłej zieleni do zimnych szmaragdowych głębi, obrzeżonych fiołkowemi i pomarańczowemi tęczami. Zimą znów, ogołocone z liści, puchem śniegu pokryte konary i gałęzie rzucają, pogmatwaną sieć granatowych cieni na warstwę śniegu, pokrywającą dach kościoła i daszki sobót. Cienie te łamią się na ostrych krawędziach wiązań dochowych i ścianach kościoła, odcinając się od roziskrzonej bieli śniegu. Wymarzone tematy dla malarza.

W przejeździe mijamy sfalowany, pogarbiony teren z wijącemi się błękitnemi wstęgami strumieni, kępami drzew olchowych lub brzózek bliźniaczo zrosłych, oglądających swe odbicia w sfaldowanej tafli stawu. Miło tu i zacisznie. Gdyby nie kominy, któreśmy zostawili milę poza sobą i smugi dymów, snujących się jeszcze na dalekim horyzoncie, nicby nie wskazywało że jesteśmy wśród jednego z największych środków przemysłowych Europy.

W cichy wiosenny wieczór, gdy staniemy pod skromną pasyjką przdrożną, przystrojoną przez pobożne ręce festonami i zielenią i spojrzymy na długie łany młodego żyta poprzegradzane bróżdami, gdy obejmiemy wzrokiem ciemne smugi dalekich lasów, widniejące na krawędzi nieboskłonu, pokrytego zaróżowionemi od zaszłego słońca obłokami, to zda się, że jesteśmy w jakiejś sielskiej, błogosławionej krainie, a nie na ziemi, nad którą niedawno szalała burza powstań, gdy mieszkańcy przemocą zrywali pęta ucisku narodowego i politycznego i gdzie opodal huczą i biją młoty, kipi życie, a po hutach i kopalniach wre praca bez wypoczynku.

Przedmiotem zainteresowania turysty, zwiedzającego Śląsk, stanie się też niewątpliwie lud, zamieszkujący tę ziemię: jego życie, zwyczaje i obyczaje. Lud ten niby żywy dokument, stwierdza swą etniczną jedność z mieszkańcami innych dzielnic Polski. Mimo długo wiekowej niewoli, ucisku narodowego i politycznego dotrwał po dziś dzień w mowie i wierze swych ojców i zachował niejed-

---

Złote myśli.

Człowiek nie powinien jak grzyb szybko wyrastać z ziemi i szybko rozpaść się na miejscu, które go wydało nie pozostawiając żadnego śladu swego żywotnego działania.

Goethe

nokrotnie dawne obyczaje i tradycje. Oczywiście, że ośrodki wielkiego przemysłu nie pozotały bez pewnego wpływu niwelującego, co odbiło się przedewszstkiem na zewnętrznym wyglądzie mieszkańców gmin fabrycznych. Wpływ ten nie siągnął jednak poza tem zbyt głęboko i poza pewnym zewnętrznym nalotem nie przekształcił polskiej duszy— nie zdołał jej wynarodowić. Ubiory ludowe, jak zresztą nietylko na Śląsku zanikają stopniowo. Składa się na to wiele przyczyn, przedewszystkiem jednak taniość współczesnego, fabrycznie wytwarzanego odzienia. Męszczyźni zarzucili niemal zupełnie charakterystyczne śląskie stroje, u kobiet pozostały jeszcze jako strój codzienny szerokie spodnice, wolne kaftaniki i chustki na głowie. W całej okazałości swych strojów występuje lud górnośląski na weselach, na uroczystościach kościelnych i narodowych. Po dziś dzień, dotrwały na Śląsku niektóre zwyczaje i obrzędy n. p. zwyczaj chodzenia z Marzaną, wywodzący się, jak sama nazwa wskazuje, ze starosłowiańskich czasów. Zwyczaj ten po dziś dzień uprawia się w wielu wsiach powiatów: raciborskiego, rybnickiego, a nawet—co dziwniejsze—istnieje on tuż pod samemi Katowicami w Bogucicach. W czwartą niedzielę postu t.zw. śmiertną, starsze, ubogie obnoszą po domach zamożniejszych gospodarzy kukłę ze słomy, na żerdzi, przystrojoną w strój panny i śpiewają.

Oryginalnym zwyczajem, również po dziś dzień utrzymywanym, jest mycie rąk, nóg i twarzy w czesnym rankiem, w Wielki Piątek, na pamiątkę umywania nóg starcom przez Pana Jezusa.

* * *

Jakiekolwiek jednak różnice spotykamy na tych obszarach, całą ziemię śląską spaja w jednię nierozerwalną gorące, ojczyźnie zawsze wierne, serce polskie, tworzące żywą, nieprzełomną zaporę dla—bijących od wieków w zachodnie obrzeża Rzeczypospolitej—fal, niosących namuły obczyzny.

To też naoczne poznanie tej kresowej stannicy polskiego ducha winno się stać nakazem dla każdego, miłującego kraj Polaka.

J. W.

TĘSKNOTA.

Czuwa nademną ciągle niestrudzona
I myśl mi każdą porywa ze sobą,
Często z uśmiechem co jest jej ozdobą,
I bierze w swoje zmęczone ramiona...

Myśl moja wtedy szybuje w przestworza,
Taka promienna, swobodna i jasna,
Zrzuca niewolę ziemi—bo za ciasna,
Choć nie tak ją stworzyła potężna moc Boża

Lecz tylko sercem mogę
iść szlakiem jej podróży
I patrzeć na jej drogę,
Która mi się nie znuży.

Bo widzę wtedy w przelocie
Nieznane, wyśnione kraje,
Królewne, rycerzy krocie,
Jakich nam tylko baśń daje.

I idę szlakiem wielbłądów
Przez pustyń niezmierne piaski
I zbieram tęczowe blaski
Jednego słońca z nad lądów.

I klękam w niemym podziwie
Przed Sfinksa zagadką wieczną,
I wiem, że w tę ostateczną
Też się zapatrzę tak chciwie...

I czuję się taka mała
Pod piramid strażą dali,
Że oprzeć się uczuć fali
Już nie mogę, choćbym chciała.

I płynę z rzeką do morza —
I mieszkam w podwodnym zamku,
Skąd mi się każdego poranku
Objawia przecudna zorza.

A potem z zielonej głębiny
Rękami uchwycę się słońca
I chodzę po niebie bez końca,
By szukać pięknej krainy —

A wtedy myśl ma przychodzi
Nad smutne bory szumiące,
Nad łany się kołyszące —
I taką piosnkę wywodzi:

Senne brzozy, białe brzozy
Jak zazdroszczę wam
I wy smukłe, giętkie łozy,
Które dobrze znam —

I wy świerki, dumne sosny
Dziko wybujałe,
Co śpiewacie hymn radosny
Stwórcy wciąż na chwałę.

Chcę z kroplami wonnej rosy
Na was srebrem lśnić—
I gdy dzwonią ciche wrzosy,
Chcę o szczęściu śnić—

W tej świątyni tu od świata
Chcę już zawsze być —
I anioła co tu wzlata
W leśnej ciszy czcić...

— — — — — — — — — —

A gdy późno o zachodzie,
Gdy las szepcze już pacierze.
Gdy na mrocznej tafli wodzie
Odbija się słowo: wierzę —

I gdy wieczór schodząc nowy
Zrzuca z nieba płatki złota,
Wtedy cicho z nad mej głowy
Ulatuje w dal tęsknota . . .

Olimpja Popovici
gimn. mysłowickie.

Odpowiedzi Redakcji.

Ananas — F. F. Dzwon na trwogę — nie pójdzie.
F. — Po burzy — Nie pójdzie.
Cagorata 6a. — Artykułów podpisanych samym pseudominem nie umieszczamy. — Zresztą niedołężny.
J. W. — Wspomnienie w lesie i Wakacje w górach nie pójdą w tym numerze z powodu braku miejsca.
Niejaki X. — Nafta w Anglji nie pójdzie.
Ananas 13— Słów kilka o racjonaliźmie nie pójdzie

Od Redakcji.

Nagrodę za pracę literacką w naszem pisemku otrzymał kolega Bucki, — komplet Poezyj Mickiewicza.
Drugą nagrodę w postaci książki M. Konopnickiej p. t. Mickiewicz, Jego Życie i Duch otrzymała koleżanka St. Olejnikówna gimn. oświęcimskie.

DZIAŁ ROZRYWEK UMYSŁOWYCH.

Rozwiązanie z Nr. 8

Logogryf:

1) Litai, 2) Mat, 3) Ale, 4) Krepa, 5) Amoniak, 6) Kantyna, 7) Platyna, 8) Chock, 9) Oko, 10) Wan, 11) K. P. W., 12) Kim, 13) Satyr, 14) Bojardo, 15) Chełmno.
Krzyżyki dają—Talent to Kapitał,

Konikówka.

Miłość jak słońce-choć zajdzie w pomroce,
Jeszcze z blaskami srebrnego miesiąca,
Powraca smutne rozpromieniać noce,
I przez ciemności przedziera się drżące,
Pełna tęsknoty cichej i żałoby,
By wieńczyć śpiące ruiny i grody
A. Asnyk,

Rozwiązanie nadesłali:

Osadziński Jan Kl. VIa pkt.—27

Nagrodę za największą ilość punktów uzyskanych w Konkursie rozrywek umysłowych otrzymuje Osadziński Jan Kl. VI.a

Komitet Redakcyjny: J. Czerwonka, B. Dudzikówna, M. Druciak, J. Kogutówna, J. Proskowiecka, M. Stachyra M. Wilkosz.

Wydawca: Administracja „Nad Poziomów“ w Chrzanowie.
Drukarnia Zagłębia Krakowskiego Karola Bazarnickiego w Jaworznie, Sienkiewicza 348.